

Wszystko zaczęło się od tego, że w „Człowieku z marmuru” Krystyna Janda zagrała zupełnie inny typ dziewczyny. Nie tej dekoracyjnej, miękkiej, będącej tłem dla mężczyzny, ale takiej, która z całym rozmachem młodości walczy o prawo do realizacji własnej osobowości, chce być pełnym człowiekiem, a nie tylko przedstawicielką swojej płci.

Takie właśnie zadanie postawił przed nią jej mistrz Andrzej Wajda. Posłuchajmy, zresztą o tym mówi sama Janda: „Gdy w moim życiu zawodowym pojawił się Andrzej Wajda, powiedział, że nie interesuje go w postaci Agnieszki w „Człowieku z marmuru” jej prywatne życie, uczucia, rozterki, tylko potrzebuje kogoś, kto działa, myśli i ocenia. Kogoś, kto będzie zdolny pełnić w tym filmie funkcję motoryczną. Diugo zastanawialiśmy się wspólnie, czy pokazać Agnieszkę prywatnie, myśleliśmy początkowo, że powinna być jakaś scena intymna i nagle okazało się, że nie ma na nią miejsca, że poza misją, którą ma do spełnienia Agnieszka, jej prywatne życie nie istnieje”.

Misja, która jest dla Agnieszki najważniejsza — to walka o prawdę. W zmaganiu z otaczającym fałszem wkłada ona tyle temperamentu, że postać Agnieszki, zdaje się wyskakiwać z kadrowych ujęć. Opięta w dżinsy, kanciasta, chodząca wydużonym krokiem, zupełnie inna jest w sposobie poruszania się, mówienia, działania, niż reszta postaci. Agnieszka wyróżza z siebie wszystko co czuje „idzie na całość” pod względem gry emocji, walki o swoją prawdę. Niezwykle ostre środki wyrazu, jakie w tym filmie zastosowała Janda, były nowością w ówczesnym polskim kinie, budziły sprzeciw, szokowały zarówno pewną część krytyków, jak i widzów. — Dżinsowa, hałaśliwa, okropna, — powtarzali niektórzy — Wspaniała! — ripostowali drudzy. Agnieszka to była dziewczyna-dynamit i nawet Dorota Stalińska, która również wykreaowała inny typ kobiety w polskiej kinematografii, przyznała na łamach prasy, że „Człowiek z marmuru” stanowi punkt zwrotny w dotychczasowym ujęciu postaci współczesnej dziewczyny.

— Odwołałyśmy się do doświadczeń amerykańskiego aktorstwa filmowego — wyjaśnia Janda — miałyśmy odwagę zrobić to samo w polskim aktorstwie, rzucić to na ekran, aby przyzwyczaić naszą widownię do ostrych, wyrazistych środków.

Zapytana dlaczego nie robi filmu o miłości, tak powiedziała wówczas (rok 1984) o typie postaci, jaką by w tym filmie stworzyła: —...ale przecież nie będziemy biernie czekały na tę miłość, tylko będziemy o nią walczyć jak o wszystko w życiu. Bo w takich czasach żyjemy, bo tak je rozumiemy i mamy równie aktywny stosunek do życia jak nasz ekranowy partner.

Tak, typ kobiety silnej, walczącej o prawo do życia wynikał z tego, iż „samo życie nabrało takiej dynamiki, takiego przyspieszenia”. Bo być aktorem — to zgodnie z trafnym określeniem Zbyszka Cybulskiego: „umieć walczyć o swój czas”...

Nie dała się jednak Krystyna Janda zaszukadkować, wtłoczyć w schemat nowoczesnej dynamicznej dziewczyny typu Agnieszki. W teatrze gra w „Mewie” Czechowa — i jest w pełni kobietą tamtego czasu. W „Helozie i Abelardzie” liryczna i smutna oddaje dzieje wielkiej, czystej miłości; tak uwniosłonej, że dotykającej absolutu. We wspomnianym wyżej wywiadzie akcentuje potrzebę filmu o czystym, pięknym uczuciu, o takiej „miłości na deszczu”, choć to tak trudno zrobić i przede wszystkim — „potrzebę mówienia o sprawach normalnych ludzi dla ludzi”.

Potrafi być także różna w filmach i sztukach psychologicznych. W „Dyrygencie” Wajdy gra historyczką, kobietę uwikłaną w konflikt z mężem, którym gardzi. Tu używa silnych, dramatycznych środków wyrazu, a już w „Kochankach mojej mamy” Piłowskiego zmienia się diametralnie, odzwiercając postać kobiety lekkich obyczajów, kierującej się w postępowaniu własnym imperatywem wewnętrznym. Będąc w sprzeczności z wszelkimi konwenansami, bohaterka filmu jest pełna urroku, rozbrajająca, kobieca, ukazana z lekkim przymrużeniem oka.

Można jeszcze przypomnieć Jandę jako Elżbietę w „Granicach” — rolę sponowaną, oszczędną w środkach wyrazu, jakby zdjętą z portretu kobiecego tamtej epoki — i zestawiać ją z zagrana ostatnio jakże fascynującą Janką w „Domu kobiet” w Teatrze TV. Jest tu wdową bezgranicznie zakochaną w niedawno zmarłym mężu, wysublimowaną tą miłością, i cierpiącą nie tylko z powodu bolesnej straty ale przede wszystkim z poczucia winy, że nie dorównała mężowi w wysokim tonie uczuć. Janda „nosi” pozornie kamienną twarz, będąca

wrażliwość. Mondram Agnieszki Osieckiej mówi o pewnej części zagubionej młodzieży — i Janda wciela się w nastolatkę, żyje i emocjami i nastrojami. Jest przez półtorej godziny sama na scenie bez ratunku — jak mówi później, zwierając się z potwornej tremy, bo jest to jej pierwszy w życiu monodram. Ma świadomość, że nie może sobie pomóc niczym, bo tylko emocje się liczą. A jak potrafi te emocje pokazać, jak zaskakująco świeże są jej reakcje nastolatki. No i piosenki! Sugestywny głos, świetna aktorska aranżacja znanych tekstów. Widownia podbita bez reszty na zakończenie wstaje i przez 10 minut czyni wrzuszoną aktrorcę tak entuzjastyczną owacje, jaką doprawdy rzadko słyszą muzy bydgoskiego teatru. I są to brawa zasłużone, bowiem ten pozornie mało ważny spektakl dotyka jakiejś głębszej prawdy o współczesności: mówi o zagubieniu młodych, spowodowanym przez

inną”. Poddaje nawet w wątpliwość klasę swojego aktorstwa, ponieważ nie zagrała dotąd w antyku czy Szekspirze, a to jest dopiero prawdziwa szkoła talentu według niej. Cóż z tego, że porównują ją do Modrzejewskiej. Ona nie uznaje się za wielką, dopóki nie będzie miała potwierdzenia tego na scenie. W filmie — dodaje — aktor musi demonstrować stałą gotowość, nie ma czasu zastanawiać się nad sobą — a bez tego nie ma wielkiego aktorstwa.

Jakie pokłady pasji musi mieć w sobie ta aktorka, żeby być tak nienasycona, tak żądna dalszego rozwijania talentu, choć osiągnęła już wielką popularność i sławę. Co za wulkan energii — dziwi się widzowie i krytycy, a ona uważa, że energia to po prostu sprawa treningu. Ma czas i energię na teatr, estradę, film polski, fran-

Odnaleźć

siebie

inną



chaos wartości moralnych, tak charakterystyczny dla naszych czasów.

Jej kontakty z piosenką zaczęły się jeszcze w szkole teatralnej: w przedstawieniu dyplomowym śpiewała utwory przygotowane pod kierunkiem prof. Bardiniego. Pamiętamy jej występ na Festiwalu Piosenki w Opolu, gdzie niespotykaną ekspresją zauroczyła słuchaczy. Po dziesięciu latach pracy w filmie i teatrze, po doświadczeniach wyniesionych z „Egidy”, sięga znów po piosenkę, by „wyspiewać siebie”. Nie jest to bynajmniej ucieczka w piosenkę. Z każdej czyni etiudę, studium psychologiczne, potrafi „brać piosenkę za gardło” jak rzadko kto. W wieczorze kabaretowym Teatru Ate-neum, poświęconym piosence Hemara, przygotowanym przez Wojciecha Miłnarskiego ma odwagę bez cienia parodii wykonywać stare przeboje Hemara, śpiewane kiedyś przez Ordonkę, czy Zofię Terne — i jest w tym niepowtarzalna.

Mimo poważnych doświadczeń filmowych i teatralnych jeszcze czuje w sobie tyle entuzjazmu młodości, że chciałaby zagrać ze studentami szkoły aktorskiej np. w „Jak wam się podoba?”. — Chodzi o świeżość, radość i ten rodzaj ekspresji młodych — wyjaśnia — który jest nie do podrobienia. Oni by mnie podciągnęli w emocjach.

Bo dla niej liczy się tylko ciągła praca nad jakością gry. Nietypowa to postawa w naszym teatrze, gdzie królują kryteria wysługi lat i ilość wejść na scenę. I choć dzisiejszy teatr wszystkim daje „po równo”, wszyscy bowiem muszą utrzymać rodziny wobec maksymalnie zanizonych stawek — widz nieomylnie ocenia talent. „Na Jandę” się chodzi do teatru, choć dawno minęła epoka gwiazd i czasy odmawiające aktorom wszelkiego komfortu, nie sprzyjają gwiazdorstwu. Ludzie walą drzwiami i oknami na „Edukację Rity” i „Z życia glist” przede wszystkim dlatego, że są to spektakle z Jandą i osiągnęły one rekordową ilość przedstawień. Sama Janda ubolewa jednak, że za mało gra w teatrze, a uważa, że tylko tam można się czegoś nauczyć, „odnaleźć siebie

stać się z powrotem. Ale uważała, że nie mogła nie przyjechać.

Pracuje bardzo dużo i trudno zastać ją w domu, a tam czeka córka, trzy psy i kot. Popularność, niestety, kosztuje, w domu nie milknie telefon, bo ona, która tak od czasu do czasu lubi kameralność, jest osobą publiczną. Często chciałaby uciec gdzieś daleko, by znaleźć czas na odpocznik. Wtedy wraz z mężem i dzieckiem wyjeżdża na wieś, oczywicie tylko na parę dni, bo w domu kocha swoich warszawskich przyjaciół i lubi wobec nich demonstrować talenty kulinarne, których — jak twierdzi — nie posiada, ale z konieczności potrafi je z siebie wydobyć. Bardzo przestraszone por obiadu z rodziną, bo inaczej w ogóle nie miałaby kłody z nią porozmawiać. Córce tłumaczy: nigdy w życiu nie bądź aktorką, widzisz, jakie stresy, koszmary, łyzy, histerie pociąga za sobą ten zawód... Po premierze jest tak wykończona, że przez dwa dni ma tylko siłę leżeć w wyciemnionym pokoju. A jednak kocha tą pracę — przede wszystkim dla

— One fascynują mnie najbardziej. Dochodzenie do roli, do tego najdalszego miejsca, do którego można dojść — to moja prawdziwa pasja. Później nie mam już siły oglądać gotowego dzieła, w ogóle nie lubię widzieć siebie na ekranie, zawsze chciałabym coś zmienić, poprawić.

Sprawia wrażenie osobowości silnej, zdecydowanej, ale nie uważa się za taką, choć przyznaje — trzeba mieć dużo siły, aby wytrzymać te wszystkie stresy. W aktorstwie liczy się przecież stopień emocji, a bywają to emocje takie, jakie nader rzadko są udziałem przeciętnego człowieka, typu: choroba dziecka, ślub, rozwód. I trudno się dziwić, że później następuje depresja — człowiek jest wypłukany, 80 proc. nas — mówi — uprawia ten zawód niehygienicznie, na własnych nerwach, reszta to technicy... Reżyser pracuje na żywym organizmie i nie zdając sobie z tego sprawy niszczy psychikę aktora. Na Zachodzie byłam raz świadkiem sytuacji, że reżyser swym typym okrucieństwem doprowadził aktorów do płaczu. Wtedy wyszłam z siebie i wykonałam z reżyserem to, co on z zespołem...

Taka już jest: bezpośredniość, szczerłość, temperament i żywioł. A jednocześnie, gdy trzeba, ogromna koncentracja, wyciszenie, wewnętrzne napięcie.

Zapytana, czy chciałaby nanieść na swoje życie jakies korekty, odpowiada: — Niczego nie żałuję, zdaje sobie sprawę, że wykonuję zawód okrutny, ale jest to piękna choroba, bo wiąże się z przekazywaniem „pewnych czystości”: miłości, dobra, prawdy. Wnikając w tekst, przygotowując rolę, wchodzi się w świat tych pięknych idei, można z nimi cały czas obcować, a wtedy wszystko inne traci sens.

— Czy Pani wierzy w miłość?

— Oczywiście. W wiele rzeczy wierzę! Ciągłe wierzę! I w to, że musimy pielęgnować w sobie czystość, prawdę i piękno, choćby inni uważali to za naiwność. Bo to jest źródło prawdziwych emocji, które nosimy w sobie, a naszym zadaniem jest umieć je przekazać. Im większe emocje nosimy w sobie, tym bardziej potrafimy przekonać innych.

— Innych: to znaczy elitę, kochającą teatr, czy ogół?

— Teatr dla elity mnie w ogóle nie obchodzi. Odnajduję sens swojej pracy tylko w przeżyciach całej zbiorowości. Umieć je oddać — to dopiero szczęście.

— Może właśnie w tym credo upatrywać należy fenomenu Jandy, jej wielkiej elektryzującej „siły”. Jest w niej ogromna determinacja, i pasja oddziaływania na innych, jakiś „rodzaj nawiedzenia czy gorączkowego mistycyzmu” — jak to określił Andrzej Lipiński.

Tak, ta wielka aktorka ma prawo o sobie powiedzieć: zwariuję ze zdenerwowania, jeśli ktoś na mnie nie zareaguje (podobno tak się wyraziła).

Bo na nią nie można nie zareagować.

KRYSTYNA STARCZAK-KOZŁOWSKA